

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/kultura/61263,50-lat-temu-zmarl-Mieczyslaw-Grydzewski.html>



Fot. Archiwum Emigracji UMK w Toruniu

ARTYKUŁ

50 lat temu zmarł Mieczysław Grydzewski

Autor: MIROSŁAW A. SUPRUNIUK 09.01.2020

Każdy kto go znał, wspominał, że unikał fotografów. Niewiele jego zdjęć się zachowało, a te które znamy, wydają się albo przypadkowe, albo wymuszone. Może więc na koniec uznano, że nie warto go o nie prosić.

Wiemy też, że nie miał daru wymowy, seplenił, jąkał się, zacinał, co zazwyczaj wprawiało go w zły nastrój i pogłębiało zdenerwowanie. Podobno chodził do logopedy w latach studenckich, bo myślał o karierze prawnika.

Ale prawa nie skończył, tylko historię. Być może dlatego nie znosił celebrowanych uroczystości, na których musiałby przemawiać lub tylko odpowiadać. Co innego prywatne rozmowy, nawet w większym gronie – te mogły trwać bez końca, zwłaszcza, gdy odbywały się na jego warunkach, w jego gabinecie przy ulicy Złotej, na jego zaproszenie i kiedy rozmawiano o literaturze, a jeszcze lepiej o teatrze. Na zdjęciach przecież tego nie słyhać, nie widać, że nie ma ochoty na rozmowę. Dlaczego zatem? Dlaczego nie ma go na zdjęciach jego wszystkich warszawskich przyjaciół, znajomych, kolegów i... współpracowników? Tak wiele fotografii z tamtych czasów ocalało, pomimo wojny, przechowało się w domowych archiwach, w albumach chronionych z pieczołowitością w muzeach literackich i bibliotekach.

Skamandryci

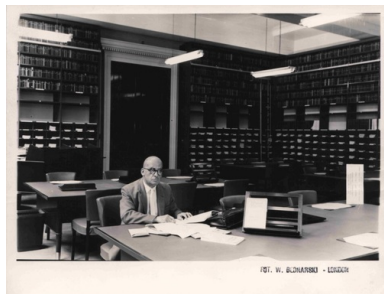
Jest takie zdjęcie z listopada 1925 roku, wydrukowane w „IKC-u”: młodzi, piękni literaci: Kazimierz Wierzyński, Jan Lechoń i Jarosław Iwaszkiewicz idą w kondukcje pogrzebowym; jest zimno, ciepłe palta, zdjęte z głowy czapki trzymają w rękach złączonych wzdłuż ciała; Lechoń, w środku, niesie poduszkę z orderami. Poważne, nie pozbawione emocji twarze. Dumne. Z tyłu, za nimi harcerze z pochylonymi w hołdzie latarniami. Za harcerzami, na tle kolumny Zygmunta i ledwie widocznej bryły Zamku Królewskiego, poprzedzony orszakiem z krzyżem, konny karawan z wysoko podniesioną trumną. Oto pogrzeb Stefana Żeromskiego. Ale na zdjęciu widać tylko ich – kwiat nowej literatury. Symboliczne przeniesienie obowiązku, a może metafora trwania.... Umarł król – niech żyją królowie. A ja się zastanawiam: jak on im to załatwił? I to zdjęcie, i to miejsce. I gdzie jest ten, któremu zawdzięczali ten krok w rytmie marszu w drodze do sławy? Gdzie jest ten, który zadbał, by nikomu innemu przywilej niesienia orderów nie był powierzony? To za chwilę będą ich orderzy...

Obdarzony „nerwem społecznym” i zdolnością organizacyjną, od pierwszych dni więcej brał udział w tworzącym się życiu akademickim, niż w zajęciach.

Początki są ważne: lato 1915 roku. Mieczysław Grycendler ukończył przed chwilą dwuletni kurs na wydziale prawnym Uniwersytetu Moskiewskiego i otrzymawszy „bilet na dalsze studiowanie” wyjechał do Warszawy. Na wakacje. W mieście już czuło się zbliżającą wojnę. Cesarski Uniwersytet Warszawski był właśnie pakowany i ewakuowany do Rostowa nad Donem, podobnie jak wszystkie rosyjskie urzędy, szkoły, fabryki, sklepy i pałace. Wyobrażam sobie to miasto, które jeszcze przez chwilę ma być rosyjskie. Wszystkie, nawet najmniejsze, warszawskie i okoliczne firmy transportowe miały robotę: rosyjskie, polskie i żydowskie. Przez

Warszawę, przez Nowy Świat, Królewskim traktem, szły całymi dniami na wschód wozy i auta wyładowane meblami, obrazami, spakowanymi wraz ze sprzętem wojskowym i wszelkiego rodzaju dobytkiem ruchomym. We wzorowym porządku. Niekończące się rzeki dobytku. Zarekwirowano powozy, furmanki, dorożki – wszystko, co mogło jeździć i... konie, a do wozów doczepiano krowy, kozy... najpierw na Pragę. Jeszcze 5 sierpnia, gdy od zachodu wkraczały do Warszawy forpoczty niemieckie, na moście księcia Józefa Poniatowskiego wśród wozów krzatali się inżynierowie rosyjskiej armii podkładając dynamit pod przęsła i poganiając maruderów. Tych, którzy nie patrzyli za siebie wybuch musiał zaskoczyć...

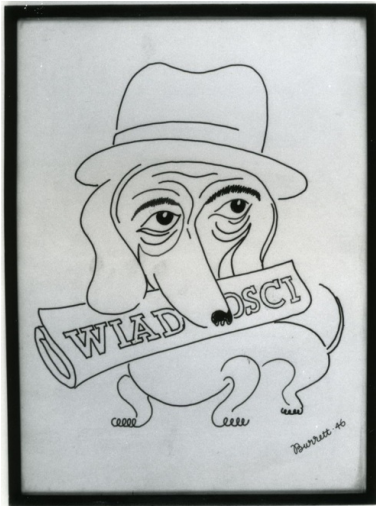
O świcie 5 sierpnia przybył do Ratusza Bohdan Hutten-Czapski, właściciel Smoguleckiej Wsi, by powiadomić Komitet Obywatelski, że sprzymierzeni cesarze zajęli Warszawę. Ten sam hr. Czapski niezadługo zostanie kuratorem odrodzonego z łaski cesarza Uniwersytetu Warszawskiego, a niewiele lat później ustanowi na smoguleckich dobrach fundację, która wspierać będzie Uniwersytet i Politechnikę w odrodzonej Rzeczypospolitej. Tymczasem w mieście wyznaczono godzinę policyjną po dziewiątej, a na placach i rogatkach ustawiono karabiny maszynowe na wypadek buntu. Miasto zachowywało chłodną rezerwę. Niemcy wydrukowali pocztówki z barwnym portretem księcia Leopolda von Bayern na tle zamku królewskiego z napisem „*Festung und ihre Beswinger*”, a w mieście pojawili się butni, zwycięscy, spacerujący sztywnym krokiem oficerowie w pikelhaubach, za którym unosił się zapach złych cygar. Mianowano generał-gubernatorem Hansa Beselera, który zamieszkał w Belwederze i jeździł po Warszawie powozem zaprzężonym w parę mlecznobiałych koni zarekwirowanych królowi Belgów. Życie – jak czytam we wspomnieniach – „powracało stopniowo do normy”, ale też wiele się zmieniało. Wprowadzono kartki na chleb, a później na inne produkty: mąkę, kaszę, cukier, mięso. W końcu ustanowiono dni bezmięsne. Brakowało opału i... mężczyzn, których zmobilizowano na front. A jednak gazety codzienne wychodziły nieprzerwanie, a czasopisma zaczęły się ukazywać już 15 sierpnia. W połowie listopada otwarto polskie wyższe uczelnie. Uroczystość inauguracji roku akademickiego poprzedziło nabożeństwo w katedrze św. Jana. Rektorem Uniwersytetu został dr Józef Brudziński. W końcu listopada po raz pierwszy obchodzono rocznicę powstania 1830 r., a w teatrze „Rozmaitości” zagrano „Noc listopadową” Wyspiańskiego. W roli księżnej Łowickiej wystąpiła Janina Szyllinżanka, a Wielkiego Księcia grał Kazimierz Junosza-Stępowski.



Fot. Archiwum Emigracji UMK w Toruniu



Fot. Archiwum Emigracji UMK w
Toruniu



Fot. Archiwum Emigracji UMK w
Toruniu

Polscy profesorowie i studenci, którzy w większej części pozostali w Warszawie, restytuowali Uniwersytet Warszawski. Mieczysław Grycendler zapisał się na Wydział Filozoficzny; dokumenty złożył 12 listopada. Otrzymał indeks z numerem 383, a w grudniu dostarczył „Zaświadczenie” „moralności”. Komisarz X Okręgu (jak można się domyślać, w okręgu tym znajdowała się ul. Złota) napisał, że po zasięgnięciu opinii pomocnika Komisarza X Okręgu Hertza wydaje p. Mieczysławowi Jerzemu Grycendlerowi zaświadczenie o „nienagannym

prowadzeniu się". Studia studiami, a bumaga moralności musiała być.

Studiował historię. Chciał kontynuować moskiewskie studia jurystyczne, ale w listopadzie 1915 roku Niemcy nie zezwolili na kursy prawne. Ukonstytuowanie sądownictwa polskiego natrafiało na opór władz okupacyjnych, które preferowały język polski tylko w pierwszych instancjach, w wyższych ustanawiając niemiecki jako urzędowy. Adwokaci zbojkotowali sądy niemieckie. Kara musiała być. Jednak na dokumencie przyjęcia Grycendlera na Uniwersytet ktoś w sekretariacie postawił stempel „PRAWO”, a następnie przekreślił go ołówkiem, dostawiając „FILOZOFIA”. Dziwne to było studiowanie. Obdarzony „nerwem społecznym” i zdolnością organizacyjną, od pierwszych dni więcej brał udział w tworzącym się życiu akademickim, niż w zajęciach. „Kronika” w czasopiśmie „Pro Arte et Studio” pozwala odszukać miejsca, w których zaznaczył swoją obecność. Jeszcze w 1915 został sekretarzem Koła Historyków Studentów UW, którego najpewniej był pomysłodawcą. Nie lubił zapisywać się do organizacji, które wymyślił ktoś inny. Ani dawać swojego nazwiska do gazet redagowanych przez kogoś innego. Taka przekora. A może przeświadczenie, że sam potrafi wszystko najlepiej. Uniwersytet będzie niedługo żył polityką i odradzającą się niepodległością, ważniejszą od studiowania, ale w 1915 roku najważniejsza była swoboda mówienia i pisania na tematy wcześniej zakazane. Student M. J. Grycendler był pierwszym referentem Koła Historyków: jesienią 1915 roku, na pierwszym posiedzeniu, odczytał referat p.t. „Król Bolesław Śmiały a święty biskup Stanisław”. Jaka szkoda, że nie zachowały się akta studenckich kół z tego okresu. Ile było tych jego wystąpień studenckich, odważnych, wymagających pokonania słabości i kompleksów, bo przecież jąkał się? Pasja. Była w tych wystąpieniach pasja – notują to wszyscy, którzy go słuchali. Ostatnie, ale najważniejsze wystąpienie miało miejsce 11 marca 1918 roku; w obecności członków uniwersyteckich kół ideowych, Grycendler wygłosił referat pt. „Na nowych drogach (O duchu dziejów Polski)”. Zacytujmy dwa zdania ze streszczenia:

„[...] mesjanizm nie może mieć wpływu destrukcyjnego na nasze życie narodowe: oskarżanie społeczeństwa polskiego o pleśnienie w grobach było i jest niestuszne, naród nasz, jak i inne narody, w poczynaniach swych rządził się własnym interesem i nie ulegał zapędom samobójczym. Stąd wypływa konieczność odrzucenia kultu bohaterstwa, o ile nie zgadza się on z realnymi interesami narodowymi”.

Kiedy się spotkali? Bo przecież musieli się spotkać na Uniwersytecie. Byli na *Wyzwoleniu* w listopadzie 1915, bo nie mogli nie być, ale czy razem? Czy w tłumnie oklaskiwali aktorów? A może spotkali się w Czytelni Akademickiej Towarzystwa Bratnia Pomoc, którą zorganizował Grycendler? Najpewniej jednak w Kole Polonistów Studentów UW, do którego należeli obaj. Na początku byli tylko dwaj: Leszek Serafinowicz – poeta i Mieczysław Jerzy Grycendler, który chciał być prawnikiem... Weszli do redakcji pisma *Młodzieży Akademickiej „Pro Arte et Studio”*. Od początku. Choć Grycendler zadebiutował jako autor w zeszycie 2, w kwietniu 1916 roku, tekstem zatytułowanym „Konstytucja 3-go maja a Deklaracja praw człowieka i obywatela”. I jeszcze byli razem 14 grudnia 1916 roku na uroczystym publicznym posiedzeniu Koła Polonistów Studentów UW, poświęconym pamięci Henryka Sienkiewicza. Były tylko dwa wystąpienia: Grycendlerowe brzmiało: „O stosunek Sienkiewicza do przeszłości”; Serafinowicz mówił o literaturze. Do Koła Polonistów zapisał się także

Julian Tuwim – student prawa. I zaczął pisać do „Pro Arte et Studio”.

Redaktorzy i autorzy studenckiego czasopisma spotykali się w kawiarni literackiej „Udziałowa”. I tam najpewniej zdecydowali, że biorą wszystko w swoje ręce. Najpierw czasopismo: w początkach roku 1917 „Pro Arte et Studio” zmieniło redakcję i siedzibę. Nowy komitet redakcyjny przeniósł się do mieszkania przy ul. Złotej 8 m. 5. Sekretarzem czasopisma został Mieczysław Jerzy Grycendler, a do redakcji weszli m.in. Leszek Serafinowicz i Władysław Zawistowski – poeta, krytyk literacki i teatralny. W styczniu 1918 roku doszedł Tuwim, wybrany do zarządu na stanowisko „bibliotekarza”, takie samo, jakie jeszcze niedawno wśród historyków pełnił Grycendler.



Fot. Archiwum Emigracji UMK w Toruniu

1918

Sekretarz redakcji Mieczysław Grycendler w krótkim czasie przejmie i „zmonopolizuje” miesięcznik „Pro Arte”. Zacznie zapraszać do współpracy autorów, którzy stworzą niezadługo formację skamandrytów.

Jaka szkoda, że nie zachowały się akta studenckich kół z tego okresu. Ile było tych jego wystąpień studenckich, odważnych, wymagających pokonania słabości i kompleksów, bo przecież jąkał się? Pasja. Była w tych wystąpieniach pasja – notują to wszyscy, którzy go słuchali.

„Zjawił się u mnie studencik nieco sepleniący – wspominał będzie Antoni Słonimski – i spytał, czy nie dałbym jakiegoś wiersza do ‘Pro Arte et Studio’. [...] Wiersz dałem, ale na uwagę, że pismo nie płaci honorariów, poprosiłem, żeby wiersz oddał, bo ja za darmo nie drukuję. Popatrzył na mnie z pogardą, żalem i bólem swych bardzo wymownych oczu i powiedział nie bez obrzydzenia: ‘Dobrze. Zapłacimy Panu’”.

Jak ważne były dla nich symbole. W dniu 88 rocznicy wybuchu Powstania 1830 r., w tym samym, w którym Józef Piłsudski objął urząd Tymczasowego Naczelnika Państwa Polskiego, Tadeusz Raabe, Lechoń, Słonimski i Tuwim, założyli w lokalu przy ul. Nowy Świat 57 kawiarnię artystyczną „Pod Picadorem”. Było w tym wiele zapału, siły i nadziei. Cała Warszawa tym żyła. Na inauguracji przemawiał Tuwim, Słonimski odczytał wiersz „Pikador”, potem Iwaszkiewicz wyrecytował kilka „Oktostychów”, a po nim zaczął mówić Lechoń. Kiedy drżący i blady skończył czytanie „Mochackiego” zerwała się pierwsza w Polsce burza oklasków na cześć poezji. Napisze A. Słonimski:

„Ten blady, wysoki młodzieniec, w nieco podniszczonym ubranku żakietowym, wygłaszający wzruszonym głosem swój wiersz w natłoczonej kawiarni – to jedno z piękniejszych widoków, jakie oglądałem w życiu.”

Czy Grycendler miał coś wspólnego z kabaretem? Wspominał Iwaszkiewicz w *Książce moich wspomnień*, że pewnego ranka przybył do niego Mieczysław Grycendler, ubrany w biało-czerwoną czapkę i wręczył mu nowy numer „Pro Arte”, a następnie kazał iść do kawiarni na Nowy Świat 57, gdzie czekali na niego Tuwim i Słonimski. Ale sam nie poszedł. Cały on. Grycendler reżyserował sukcesy i życie artystyczne wszystkich, ale – jak wspominał Adam Pragier – nigdy publicznie, zawsze w tle, nigdy na sali się nie pokazywał, jak lalkarz poruszający bohaterami przedstawienia z góry, pociągając za drażliwe dla ruchów nici. Sława poetów Skamandra rodziła się – jak to pięknie określił Jan Lechoń – „wśród jego okrzyków zachwyty”. Wszelako, tam gdzie działały się rzeczy ważne dla literatury był nie tylko duszą; w manifestacjach i wystąpieniach pikadorskich poza kawiarnią był zawsze obecny. W obronie dyrekcji Teatru Polskiego (Szyfmana) napisał nawet list otwarty do „Nowej Gazety”. Kiedy 21 grudnia 1918 roku w Teatrze Polskim protestowali przeciw sztuce *Pani Chorążyna* Stefana Krzywoszewskiego, zrzucił z balkonu ulotki, a później wdał się w bójkę z kimś, kto nazwał skamandrytów „błaznami”. Został odprowadzony przez agenta policji na komisariat. Był Grydzewski inscenizatorem sukcesu tak „Picadora”, jak wszystkich innych wydarzeń młodych wówczas poetów; oceniał, kreował, poprawiał – gdy trzeba było skreślał niemiłosiernie – doradzał i lansował. Szczególnie Lechoniowi. Czy nie dlatego autor Karmazynowego poematu rozpuszczał wiadomość, że wiersz *Duch na seansie*, publikowany w 1918 roku w „Pro Arte et Studio” napisał sam Grycendler? Grydzewski wtrącał się nie tylko do rękopisów, ale – jak napisze Słonimski:

„próbował redagować nasze życie. [...] był nie tylko naszym redaktorem, ale przyjacielem, adoratorem, kibicem naszych sukcesów. [...] Był lojalnym powiernikiem sekretów i pomocą w każdej trudnej sytuacji

życiowej. Bardzo byliśmy dla niego niedobrzy. Kochaliśmy go i dokuczaliśmy obrzydliwie”.

Kiedy Iwaszkiewiczowi urodziła się córka, Anna Iwaszkiewiczowa zanotowała w Dziennikach: „On w ogóle jako redaktor poczuwa się do pewnego rodzaju opieki względem wszystkich żon skamandrytowych, no i teraz dzieci”.

Nazywali go po swojemu, przezywali: był Mieciem, Mieciuniem, Grydzuniem, Grycusiem, Grydzusiem, Gri-Gri, wreszcie – Grydзем – lecz Grydzewskim dopiero po wojnie, z odległości. Dla patrzących z boku, ten stosunek autorów „Skamandra” do Grydzewskiego był czytelnym brakiem szacunku, a może czymś więcej:

„Pełno było tego antysemityzmu – wspominał Aleksander Wat w rozmowie z Czesławem Miłoszem – i miałem to poczucie, które miał każdy Żyd, choćby najbardziej zasymilowany, tę absolutną pewność, że jak się odwrócisz, to tam za plecami, przyjaciele mówią: ‘Ten Żyd’. Czasami robili to jawnie, jak Iwaszkiewicz, który nienawidził Grydzewskiego i zawsze miał do niego pretensje, w ‘Ziemiańskiej’ przygadywał mu: ‘Ty Żydziuniu, Żydziuniu!’”.

Ale Wierzyński napisze również i to:

„Żeśmy się nie rozlecieli na wszystkie strony i nie rozeszli się równie szybko, jak zeszliliśmy się razem – jest zasługą Grydzewskiego. Bez niego nie powstałby miesięcznik poetycki ‘Skamander’, bo nikt z nas się nim poważnie nie interesował. Bez niego nie odbywałyby się nasze wieczory autorskie, na które Grydzewski zganiał [...]. Nie miałyby do kogo dołączyć tak świetne talenty, jak Pawlikowska, Wittlin albo Baliński. Grydzewski wniósł ze sobą instynkt gromadzki i skrzętność gospodarza, i one pomogły mu zebrać odrębne osobowości pod jednym dachem”.



**Fot. Archiwum Emigracji UMK w
Toruniu**

Wiadomości Literackie

Niby nic – własny tygodnik. Ile ich było w Warszawie? Pojawiały się, upadały; prawo do trwania miał tylko „Tygodnik Ilustrowany”, który czytali wszyscy, który był od zawsze, jeszcze z czasów przedwojennych, sprzed każdej wojny. A inne tygodniki bywały.

Grycendler już nazywał się Grydzewski. Jeszcze nieśmiało, w pierwszym zeszycie nowego miesięcznika poetyckiego „Skamander” w styczniu 1920 roku, półoficjalnie, nie w pełni dojrzałe, może na próbę, jako „M. J. Grycendler-Grydzewski”, ale wraz z końcem wojny z bolszewikami stanie się Mieczysławem Grydzewskim. I nadal w cieniu. Tylko jako jeden z członków „wielkiej” redakcji, obok Juliusza Kaden-Bandrowskiego, Emila Breitera, Wilama Horzycy, Karola Irzykowskiego, Jarosława Iwaszkiewicza, Wincentego Rzymowskiego, Leszka Serafinowicza, Antoniego Słonimskiego, Juliana Tuwima, Kazimierza Wierzyńskiego i Władysława Zawistowskiego. Skład redakcji ustalił sam. „Zdradził” to Karol Irzykowski, kiedy wyjaśniał powody rozstania się z miesięcznikiem po kilku miesiącach. Redakcja znajdowała się w mieszkaniu Grydzewskiego i choć „Słowo wstępne” podpisał Horzyca, Grydzewski musiał je wielokrotnie „poprawiać”. Nie mogło być inaczej, to przecież był jego pomysł, choć do nazwy przyznawać się będą wszyscy:

„Nie występujemy z programem, gdyż programy są zawsze spojrzeniem wstecz, są dzieleniem nieobliczalnego życia przez znane. Można mówić o programie niedzielnej wycieczki za miasto, ale kto powiedzieć potrafi, jaki był program Kolumba, wiodącego swe galeony przy białych gwiazdach, aby nadprogramowo odkryć Amerykę; kto powie, że tu program był najważniejszym? Czego innego żąda się od Kolumbów, wypływających na zawsze nieznanne morza, i dlatego my, którzy nie wiemy, kędy powiodą nas jutro nieposłuszne, a odkrywczyste stopy, nie kreślimy programu. Świat jest przed nami! Oto program każdej kolumbowej drogi. Świat i my i wszystko jest dla nas w pełnym chaosie stawania się, wiemy na pewno, że za węglem każdego domu czeka nas przygoda i bajka, i czujemy, że wielkie miasta i ciche wsie pełne są naszych bliskich nieznanomych, z którymi każda chwila zetknięcia nas może. A każde nowe spotkanie, to nowy zakręt drogi, nowe, niewidziane nigdy krajobrazy, na które nie chcemy zamykać oczu – w imię... programu”.

„Skamander” był dla nich, dla Poetów, ale dla Grydzewskiego to było za mało. Miesięcznikiem, nawet najlepszym, nie zdobywa się barykad, nie tworzy „nowych czytelników”, choć można od biedy robić

„nowoczesną literaturę”. Odwaga wkraczania na obszary niezbadane dla sztuki, jak się to wówczas mówiło – postępowe – charakteryzowała wszystkie inicjatywy wydawnicze Grydzewskiego w tamtym okresie. W „Skamandrze” po raz pierwszy drukowane były pionierskie „dramaty absurdu” i rozważania na temat czystej formy Witkacego; Grydzewski jako pierwszy drukował prozę i dramat Witolda Gombrowicza, nowele Bruno Schulza, żeby ograniczyć się do najbardziej prekursorskich i odkrywczych nazwisk polskiej literatury pierwszej połowy XX stulecia. A obok tego wiersze Juliana Tuwima, kroniki i pamflety Antoniego Słonimskiego, satyry Jana Lechonia, odważna publicystyka społeczna Tadeusza Boya-Żeleńskiego i Ireny Krzywickiej. I przede wszystkim tolerancja wobec krytyki. Zacytujmy Stanisława Balińskiego:

„Grydzewski był niezmiernie liberalny w sprawach dotyczących krytyki i prawa do krytykowania. Sam znosił wszystkie krytyki z epikurejską dobrotliwością. Uważał że każdy ma prawo do wygłaszania swoich sądów. Co więcej, uważał że krytykowany nie powinien wyciągać ze spotykających go krytyk żadnych konsekwencji i nie mieć o to żadnych żalów”.

6 stycznia 1924 roku pojawiły się „Wiadomości Literackie”, tygodnik, jakiego Polska nie miała nigdy w przeszłości. Zdaniem Antoniego Słonimskiego – Grydzewski założył tygodnik literacki „trochę dlatego, że chciał na tym zarabiać, a bardziej dla swej pasji literackiej i satysfakcji redagowania, skracania rękopisów i łamania numeru, co jest u niego czymś w rodzaju rozkoszy zmysłowej”.

Niczego nie zrozumiał. Pasją nie było redagowanie, pasją było robienie tego inaczej niż wszyscy. I rację miał Michał Chmielowiec pisząc w 1970 r. „od razu wyróżniły się z zacnej, ale nudnej familii kapliczek literackich, przyszły na świat inne, jedyne w swoim rodzaju”.

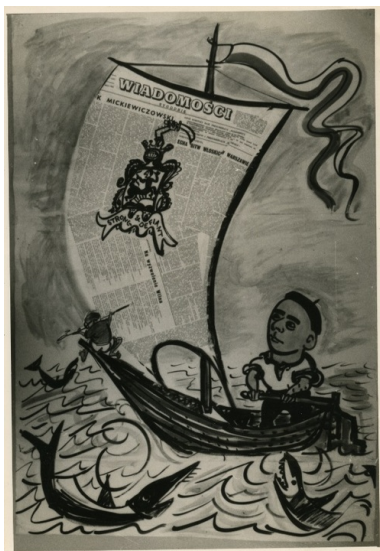
Nikt nigdy nie miał wątpliwości, że „Wiadomości Literackie” były dziełem jednego człowieka. Grydzewski redagował je sam i żadnego wtrącania się w robotę redakcyjną nie tolerował, a wszelkie uwagi na temat drukowania tego czy innego autora, powodowały, że inkryminowane nazwisko pojawiała się w tygodniku częściej.

Nie było w „Wiadomościach Literackich” żadnej ideologii, żadnej doktryny, ani ideowej, ani artystycznej, żadnej nachalnej „walki o Polskę”, żadnego naprawiania świata na bolszewicką modłę; każdy przejaw życia literackiego i artystycznego miał równe prawa do zaistnienia na łamach tego pisma. Eklektyzm – bo przecież trzeba było to nazwać – „Wiadomości Literackich” nie podobał się jednak wielu. Budził niechęć, czasem złość i irytację współpracowników.

„Dla prawicy były wywrotowe, dla lewicy – wsteczne, dla endeków – sanacyjne, dla piłsudczyków – nieprawomyślne, dla komunistów – drobnomieszczańskie, dla Żydów – antysemickie, dla rasistów – żydowskie, dla świętoszków – niemoralne, dla awangardowych snobów – zbyt tradycyjne, dla kołtunów – po prostu miazmaty” – napisał Juliusz Sakowski. Oburzali się na tygodnik „strzelcy i sokoli, korporanci, aspiranci, filateliści, cykliści, ascetyczni wolnomyśliciele i lubieżni bigoci”.

Szyby reklamy „Wiadomości Literackich” były wybijane stale, uparcie i wzorowo.

Nikt nigdy nie miał wątpliwości, że „Wiadomości Literackie” były dziełem jednego człowieka. Grydzewski redagował je sam i żadnego wtrącania się w robotę redakcyjną nie tolerował, a wszelkie uwagi na temat drukowania tego czy innego autora, powodowały, że inkryminowane nazwisko pojawiało się w tygodniku częściej. Do tajemnic redaktorskich dopuszczany był jedynie Borman. Między ul. Żółtą a Świętokrzyską, a później Królewską biegał kurier, woźny redakcji – Kazik (Kazimierz Gac), dzwoniły telefony; współpraca duetu Grydzewski-Borman układała się wzorowo i najpewniej zdarzało się, że czasem nie oglądali siebie nawzajem kilka dni, a kto wie, czy nie dłużej.



Fot. Archiwum Emigracji UMK w Toruniu

„Nasze wzajemne stosunki w ‘Wiadomościach’ układały się najprzyjaźniej – napisze Grydzewski po śmierci Bormana z perspektywy ponad 40 lat. – Normalnie redaktor pisma jest skłonny do zaczepności, a wydawca odgrywa rolę czynnika powstrzymującego śmielsze zapędy, w imię nienarażania się. Otóż Borman nigdy w tym zakresie nie próbował interweniować, pozostawił redaktorowi zupełną swobodę.”

„Wiadomości Literackie” były instytucją najwyższego zaufania „literackiego”. Mówiło się podobno w przedwojennej Warszawie, że tylko dwóch ludzi naprawdę załatwia sprawy – Piłsudski wielkie, a Grydzewski małe. Literatura to była mała sprawa, ale Grydzewski „załatwiał” ją po mistrzowsku. Czytał wszystko, co nadsyłało do redakcji. Zwykł mówić, i powtarzał to także po wojnie na emigracji, że „Wiadomości” nie trzeba redagować, że same się redagują, a raczej, że redagują je autorzy tekstów, nadsyłając ich taką liczbę, że rolą Grydzewskiego jest jedynie odrzucanie tych kiepskich, adjustacja maszynopisów i pilnowanie drukarni. Ale dalekie to było od prawdy. O ile rzeczywiście, redakcja nie zamawiała żadnych tekstów (za wyjątkiem numerów specjalnych, których w okresie międzywojennym było ponad 30, a po wojnie zaledwie dwa – oba poświęcone Conradowi w oczach pisarzy brytyjskich i polskich), o tyle Redaktor spędzał wiele czasu na przerabianiu i przenicowywaniu nadsyłanych tekstów, na kolejnych, pracochłonnych korektach i na wymyślaniu takiego układu tekstu, by w łamaniu zestawień ze sobą autorów, którzy poza tygodnikiem nigdy nie stanęliby obok siebie. Niemal wszystko, co robiły „Wiadomości Literackie” było nowatorskie; kiedy na ścianie I.P.S.-u zamontowano pierwszy w Warszawie szyld reklamowy pisma w formie neonu ze słynnym pegazem, pod którym o każdej porze dnia przeczytać można było ostatni numer tygodnika – podobne szyldy stały się modą, a kiedy w reklamach tygodnika w formie witryny w lokalu I.P.S.-u przy ul. Królewskiej 13, wykorzystywać zaczęto rzeźbę z papieru autorstwa przede wszystkim Tadeusza Lipskiego, zajęcia z papieroplastyki na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych zaczęły cieszyć się nadzwyczajnym wzięciem. W czasie wojny i po wojnie, artyści wykształceni na warsztatach papieroplastyki zrobią furorę w grafice użytkowej w Wielkiej Brytanii, a Tadeusz Lipski stanie się ich mentorem.

Byli jak pięciu muszkieterów, spierających się i wspierających. Zazdrozczących sobie nawzajem sławy i laurów. I był Grydzewski. Szósty. Może ma rację Roman Loth pisząc, że powinno się mówić „sześciu skamandrytów”. A jednak... Nigdy Grydzewskiego naprawdę nie szanowali. Był im niezbędny, był dla nich ostoją i wyrocznią, pomocą w sprawach najbardziej elementarnych, takich jak wyszukanie wydawcy, kupienie biletów do teatru... ale nie był jednym z nich – był z innej gliny. Był ułatwieniem w życiu literackim, jak gen. Wieniawa-Długoszowski był „ułatwieniem” w kontaktach z władzą i organizowaniu etatów na placówkach. Nie był gwiazdą, której wszystko wolno. Nie był ulubieńcem Bogów. Oni bawili się, brali dostrzegalny i głośny udział w uroczystościach, kongresach, galach i spotkaniach autorskich, przyjmowali wielkich gości, bawili się w ambasadach, bywali sekretarzami dyplomatów, odbierali nagrody, ordery, laury, występowali w radio – on pracował na ich wielkość i ze stoickim (choć nie zawsze) spokojem znosił ich kaprysy, dąsy i wymagania. Doskonale wykształcony, po studiach prawniczych w Moskwie i historii w Warszawie, z doktoratem, miał wiedzę nie tylko o przeszłości, ale też świetne rozeznanie w prawie, w regułach funkcjonowania rynku prasowego, smak literacki itd. Oni tylko marzyli i byli obecni – on realizował. Ich pomysły na wydawanie własnych czasopism, zaczynane burzliwie obietnicami tworzenia rzeczy wielkich, w każdym razie „większych”,

kończyły się na fantasmagoriach, albo na efemerydach, których żywot był krótszy niż dyskusja o ich powołaniu. Ani „Cyrulik” Lechonia, ani „To-To” Tuwima, ani „Kultura” Wierzyńskiego nie wytrzymały czasu. Grydzewski trwał, posądzany o megalomanię i próżność, oskarżany o bezideowość i eklektyzm, brak gustu i dyktatorstwo. I dbał o nich. Im się wydawało, że tworzy kolejne pisma dla nich, dla ich poezji, dla ich wielkości... a on czerpał z ich talentów, by zmieniać świat. Czasem wykorzystywał ich naiwność, czasem ich dumę, a zawsze próżność i potrzebę bycia wielkimi. Dla nich organizował konkursy poetyckie, by mogli decydować o losach poezji. Dla nich przygotowywał spotkania z wybitnymi osobistościami ze świata, wynajmując hotele, opłacając restauracje. Dla nich stworzył Akademię Niezależnych jako przeciwwagę dla Akademii Literatury Polskiej, by *toutes proportions gardées*, choć na jej posiedzeniach poczuli się pisarzami na miarę Prousta, Rimbauda, Baudelaire’a czy Romaina Rolanda. Janusz Stradecki, w monografii Skamandra, nazwał Grydzewskiego „gwiazdą socjometryczną”, niewidoczną we wspomnieniach, pamiętnikach, na zdjęciach, ale przy stoliku skamandrytów osobistością niezwyklej wagi, skupiającą uwagę i odczucia sympatii. Być może. Ale Grydzewski nie był „gwiazdą” – był sam dla siebie.

Emigracja...

Robił nazbyt wiele, by zbyć to kilkoma zdaniem. Ostatni numer "Wiadomości Literackich" ukazał się z datą 3.09.1939 roku; 13 września Grydzewski opuścił Polskę i dotarł przez Rumunię i Włochy do Paryża. Od marca do czerwca 1940 roku w Paryżu wydawał i redagował tygodnik "Wiadomości Polskie, Polityczne i Literackie" (formalnie jako redaktor występował Zygmunt Nowakowski). Kontynuował wydawanie tygodnika w Londynie, aż do lutego 1944 roku, gdy brytyjska cenzura (za namową polskich przyjaciół Stalina) odebrała Grydzewskiemu przydział papieru, bez którego wydanie czasopisma stało się niemożliwe. W latach 1944-1946 przygotował dla kilku polskich pism emigracyjnych ("Orzeł Biały", "W drodze", "Tygodnik Polski", "Polska Walcząca", "Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza" i in.), pod pseudonimem Scrutator, recenzje z książek angielskich dotyczących Polski – łącznie ponad 50 artykułów. Robił to także później, m.in. dla "Wiadomości", "Tygodnia Polskiego" i "Kalendarza DP". Na zamówienie Ministerstwa Informacji i 2. Korpusu zredagował kilka tematycznych antologii literackich, z których ukazała się jedynie antologia poezji. Wydał kilkanaście almanachów w seriach: *Biblioteka "Wczoraj i dziś"* oraz *Biblioteka Ziemi Naszej*, które miały zastąpić tygodnik.

W kwietniu 1946 wznowił wydawanie pisma pod nazwą "Wiadomości", które redagował samodzielnie do grudnia 1966 roku. Ciężko chory przekazał pismo "Następcy" – Michałowi Chmielowcowi, samemu redagując jedynie rubrykę "Silva rerum". W "Wiadomościach" redagował samodzielnie działy: "Silva rerum", "Polonica", "Kronikę" i "Książki nadesłane". Po śmierci Chmielowca, tygodnik ukazywał się jeszcze 10 lat, redagowany przez Stefanię Kossowską. Zamknięty został na fali euforii pierwszą „Solidarnością” w 1981 roku.

W 1957 roku Grydzewski powołał emigracyjną Akademię Literatury, zwaną "Akademią Grydzewskiego" i ustanowił doroczną nagrodę "Wiadomości" za najlepszą książkę wydaną na obczyźnie i najlepszy utwór publikowany w tygodniku. Jury nagrody przyznawało wyróżnienia do roku 1990.

Zmarł 9 stycznia 1970 roku w Londynie, a prochy, zgodnie z jego życzeniem, rozsypano na cmentarzu Golders

Green.

COFNIJ SIĘ